



NOWY ROK.

O! już nas żegna, żegna rok stary,
 A strojny w szaty godowe,
 Nowy nas wita, przynosząc dary:
 Nadzieję... marzenia nowe...
 Jakiem się kołem życie potoczy,
 Któż to przewidzieć jest w stanie?
 Lecz choć nam smutek zaćmi łąą oczy,
 Nadzieja zawsze zostanie!
 I jak gwiazdeczka, co na błękiecie
 Podróżnym drogę wskazuje,
 Ona nam także rozjaśnia życie,
 W niej się otuchę znajduje.
 A gdy niekiedy nadzieja zwodzi,
 Znow się marzenie nawinie,
 Tak jak wśród gwiazdek, jedna odchodzi,
 A za to druga wypłynie.
 Więc cię witamy, roku nasz młody,
 Dar twój, nadzieja nas krzepi,
 Że nas ominą troski, zawody,
 I będzie lepiej i lepiej.
 Nie odmówiłeś marzeń, nadziei,
 O! daj nam jeszcze dwa dary,
 Bo w tej ciernistej życia kolei
 Trzeba — miłości i wiary!

Helena Bojarska.

DOBRO CZYNIA GLUCHONIEMYCH I OCIEMNIALYCH
 przez Władysława Nowickiego.

I.

Młodzietka Tazia, mieszkająca z rodzicami w Warszawie,
 była raz na wieczorku u swojej przyjaciółki; przez kilka dni

potem ustawicznie zabawę tę miała w pamięci, ustawicznie o niej opowiadała. Zapewne myślicie, że opowiadała o przysmaczkach, jakie tam jadła i o sukienkach, jakie na swoich rówieśniczkach widziała. Mylicie się bardzo. W głowce i serduszkę Tazi było zupełnie co innego.

— Ach! jak się przestraszyłam, jak się przestraszyłam — opowiadała ona już może po raz dziesiąty — bo powiedzieli, że przyjdzie nam grać do tańca ociemniały; moja mamó! ociemniały, to pewnie taki dziad wielki, z wielką brodą, z torbą, z grubym, sękatym kijem. Tak mi się żal zrobiło i już chciałam płakać, ale się wstydziłam, tylko bardzo tego biednego dziada żałowałam. Ja patrzę, a tu wprowadzają nie dziada, tylko chłopczyka w mundurze czarnym ze świecącymi guzikami i z białym kołnierzem. Już go się nic nie bałam. A jak on ładnie grał na fortepianie! Tańczyliśmy, a on ciągle grał, grał i nic się nie zmęczył. Potem bawiliśmy się w gry różne i prosiliśmy, żeby i ten chłopiec bawił się też z nami; on był najlepszą ślepą babką z nas wszystkich i najprędzej potrafił złapać kogokolwiek. A jak on potem pięknie za fant deklamował! Opowiadał też różne bajeczki. Mówił nam, że mieszka w wielkim domu, który się nazywa Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych, że uczy się wielu rzeczy, że umie także czytać i pisać, tylko w inny sposób niż wszyscy. Do czytania dla ociemniałych są duże książki o literach wypukłych, podobnie jak cyfry na papierze listowym; on może czytać tę książkę palcami, przez dotykane poznaje litery i wyrazy.

Rodzice ucieszyli się bardzo, że Tazia zajęła się ociemniałym i że tak dobrze wszystko o nim opowiedziała; a gdy Tazia później podrosła i stała się rozważną panienką, ojciec wziął ją z sobą parę razy do Instytutu i oto właśnie opowiemy, co ona tam widziała.

* * *

Było to w czasie ostatków, z placu Trzech krzyży było widać wszystkie okna w frontowym gmachu Instytutu rzęśisto oświetlone, cienie migały się w tych oknach. Gdy weszli do wielkiej sali na 1-szém piętrze, ujrzeni może ze trzystu panienek i chłopców głuchoniemych, poprzebieranych w różne kostiumy, bawiących się z wielkiem ożywieniem: były tam i sztuki gimnastyczne i obrazy mimiczne i tańce ochocze. Pomiedzy dziećmi chodził, uśmiechał się i zachęcał do zabawy wysoki, bardzo poważny pan, był to dyrektor Instytutu, pan Jan Papłoński. Powiedział on też do Tazi, że panienka nie tylko zabawy, ale przedewszystkiem pracy, nauki powinna być ciekawa i dla tego powinna prosić ojca, aby przyszedł z nią w który poniedziałek z rana zwiedzić Instytut.

Gdy za parę tygodni ojciec z Tazią przyszedł do kancelaryi Instytutu, zastali tam już parę osób oczekujących, przybył niezadługo pan dyrektor i zaczął oprowadzać przybyłych po Instytucie i wszystko tłumaczyć. Widzieli najprzód drukarnią, obsługiwaną przez ruchliwych głuchoniemych; byli potem w stolarni, tokarni, introligatorni, rzeźbiarni, gdzie wszędzie starsi głuchoniemi pod kierunkiem majstrów pracowali; byli także w warsztacie krawieckim, szewckim i ślusarskim; w oddziale zaś żeńskim byli w wielkiej pracowni, gdzie panny głuchonieme szyją bieliznę ręcznie, na maszynie i pięknie bardzo haftują. Widzieli także, jak panny ociemniałe robią z włóczki szaliki, kaftaniki i inne przedmioty; widzieli, jak ociemniałi robią szczołki, kręcają powrozy i sznury, robią słomianki, wyplatają szesla i wyroby koszykarskie.

Zdziwienie gości wzrosło, gdy przeszli do szkoły, gdy zobaczyli, jak ociemniałi uczą się wyższych nawet nauk, jak są biegli, w znajomości języka, historii. Szkoła głuchoniemych lzy rozrzewnienia zwiedzającym wyciskała. Głuchoniemi w klasie 1-szej wymawiają i nazywają różne przedmioty, starsi łatwo tworzą całe zdania, umieją dobrze odmiany wyrazów i rozbiór gramatyczny, biegle odrabiają także zadania arytmetyczne, uczą się początków geografii i historii. Niektórym uczniom pan dyrektor zadawał pytania, a oni rozumieli go po ruchu ust i odpowiadali tak biegle, jak każdy słyszający czło-

wiek. Zwiedzający byli jeszcze w muzeum pedagogiczném, gdzie bardzo wiele okazów, przyrządów naukowych, zwierząt wypechanych się znajduje; byli także w sypialniach, czysto bardzo utrzymanych, w składzie wyrobów i w końcu w ogrodzie.

* * *

Było z półtrzeciej godziny tego chodzenia. Tazia dobrze się zmęczyła, a w głowie pomieścić jej się nie mogła wielkość Instytutu i wszystkie jego szczegóły. To jakby całe miasto, przez setki nieszczęśliwych niby istot, a przecież uszczęśliwionych i pracą zajętych, zamieszkałe.

Ze zdziwieniem dowiedziała się, że jest jeszcze druga szkoła głuchoniemych na Podwalu, że p. dyrektor nie tylko Instytutem i jego uczniami się zajmuje, ale bardzo opiekuje się byłymi wychowancami Instytutu, obmyśla dla nich zarobek, układa się z majstrami, zachęca głuchoniemych i ociemniałych do oszczędności, sam pilnuje ich książeczek z Kasy oszczędności. Dyrektor dawno już założył współmieszkanie przy ulicy Piwniej w gmachu po Augustyjańskim dla starszych ociemniałych, napisał dla nich prawa, postanowił sąd braterski i kasę wzajemnej pomocy. Ciągłe się stara o to, aby głuchoniemi starsi jak najwięcej rzemiosłem, a ociemniałi muzyką zarabiali; i wielu z nich, nietylko na siebie zapracować może, ale jeszcze rodzinę utrzymuje. Jestto wielkie dobrodziejstwo, że oni, chociaż kalectwem dotknięci, nie są ciężarem dla innych, że pracować potrafią; gdy tymczasem głuchoniemi lub ociemniały, pozostawiony bez nauki, bez opieki, byłby włóczęgą, żebrakiem. Wszystko to zawdzięczać trzeba dyrektorowi Papłońskiemu, bo on zastał mały Instytut i przez 21 lat niezmordowaną pracą rozszerzył go znakomicie i dał opiekę b. wychowancóm Instytutu, a w ostatnich czasach założył Towarzystwo Głuchoniemych i Towarzystwo Ociemniałych. Pragnął on jeszcze więcej, bo zamierzył założyć szkołę gospodarstwa wiejskiego i przytułki dla starych głuchoniemych i ociemniałych, i zakład dla idiotów w Uwielinach, w powiecie Grójeckim.

* * *

Ale na cały Instytut spadło nieszczęście; wielki ten dobroczyńca, dnia 28 Listopada 1885 r. życie zakończył. Zył on lat 66. Urodzony na Litwie w r. 1819; w 21 roku życia jako młodzieniec wykształcony przybył do Warszawy i tutaj był nauczycielem, potem wizytatorem szkół, potem profesorem b. Szkoły Głównej a następnie Uniwersytetu. Instytut objął w r. 1864 i w krótkim czasie tak go pięknie urządził, że z zagranicy przyjeżdżali brać wzory z niego. Śmierć przedwcześnie zabrała do grobu tego filantropa. Był to człowiek nadzwyczaj czynny, chwili jednej nie spróżnował, nikomu próżnować nie pozwolił i wcale nie cenił tych, co zaniedbywali swoje obowiązki. Kochał wnuczęta swoje nade wszystko i wiersze nawet dla nich pisywał. W Nrze 39 „Przyjaciela Dzieci” r. 1882 drukowana była gawęda mitologiczna, dla wnuczka napisana pod tyt: „Podróż Bolesia po podziemiu”.

Śmierć jego głęboko zasmuciła nie tylko Instytut, ale i bardzo wielu innych ludzi. Przez trzy dni przy zwłokach jego w kaplicy miejscowej modlili się głuchoniemi i ociemniałi i tysiące publiczności. Pogrzeb odbył się wspaniale dnia 2 Grudnia, przed trumną niesiono wiele wieńców, wyrażających cześć dla zmarłego.

Najpierwszym dobroczyńcą Głuchoniemych był ks. Falkowski, bo założył Instytut r. 1817 *). Imię ś. p. Papłońskiego jaśnieć będzie w historii dobroczynności obok Falkowskiego, bo był największym dobroczyńcą wszystkich głuchoniemych i ociemniałych.

*) Historią Instytutu z portretem ks. Falkowskiego podaliśmy w Piśmie naszym w r. 1883 (Przyp. Red.)



PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę Reginki.

(Dalszy ciąg).

— O nie — odparła wstrząsając głową żona Zygmunta — na Orlinku niema żadnych ciężarów, mówiliśmy o tём nieraz z Zygmuntem; gdyby były, powiedziałby mi przecież, gdyż w takim razie musielibyśmy porobić pewne oszczędności. Trwożę się, droga Reginko, więcej może, niż gdybym wiedziała dokładnie co nam rzeczywiście zagraża.

— Czy tylko nie uroiłaś sobie, kochanko, tój zmory dręczącej — zapytała p. Z., przybierając ton weselszy i swobodniejszy, gdyż zaczęła podejrzawać wrażliwą zawsze od lat najmłodszą siostrzyczkę, czy istotnie nie wytworzyła sobie zmartwienia, jeśli nie było prawdziwej przyczyny, na której możnaby jęj podejrzania oprzeć.

Ale młoda kobieta znów przecząco wstrząsnęła głową, a przymuszając się do uśmiechu, rzekła:

— Niedobra jestem, czyż potrzebnie zakłóciłam ci spokój, może daremnie nawet. Ale tak przywykłam zawsze dzielić się z tobą, najlepsza moja siostrze, wszelkimi memi myślami, że i dziś tój potrzebie serca oprzeć się nie mogłam. Tyś mi była matką, tyś mi była wszystkiem na świecie, ciebie od lat najmłodszych ukochałam po Bogu najgorętszą miłością, i z utęsknieniem oczekuję chwili, w którejbym ci mogła po dawnemu otworzyć serce, i wyrzucić z niego wszelkie niepokoje i smutki, jakie się nagromadzą przez czas naszego niewidzenia.

To mówiąc, pochyliła się do ręki siostry i do ust ją ze czcią przycisnęła.

— Co robisz, Kamilko — rzekła rozrzewniona p. Z. tuląc w objęciu matkę i dziecię, a chcąc rozmowę zwrócić na inny przedmiot, aby usunąć ślady łez z twarzy siostry, dodała żartobliwie. — Ty, matka pięciorga dzieci, całujesz w ręce mnie, która ledwie jedną córką pochlubić się mogę; to twojój powadze ubliża.

— Ślady stóp twoich, siostrze moja, winnam całować — wyrzekła z zapalem młoda kobieta, kładąc dziecię do kolebki — wobec ciebie zawsze pokorę dziecka zachować mi należy, choć i siwizna me włosy pokryje.

Uścisk serdeczny, długi, połączył te dwie kobiety godne siebie, bo i ta, co z lat upływem nie zapomniła o wdzięczności, co przechowała w pamięci i sercu świadczone dobrodziejstwa, równie była szlachetną i zacną.

W tój chwili wbiegła Bronisia, wołając odedrzwi:

— Matusieńko, chodź tylko prędkiej, ale to bardzo prędko, coś okropnego się stało!

Pani Z. z trwożą obejrzała się na małą zwiastunkę jakiejś strasznej wieści, ale matka dziewczynki, znająca dobrze gadatliwą swą córkę, rzekła uspokajająco:

— Nie lękaj się, siostrze, nic się nie stało wielkiego, może któremu z nich zawadziła się noga o dywan lub krzesło, a co najwięcej stłukła się szklanka lub filiżanka, i to właśnie ów wielki wypadek.

Ale dziewczynka nie straciła nic ze swęj fantazyi, błyszczące oczy i zarumieniona buzia świadczyły aż nadto, że wypadek musiał być niezwykły.

— Aha, filiżanka! — zawołała, chwytając ciotkę za rękę — niech tylko ciocia idzie, a przekona się, co to Lence się wydarzyło.

Bładość okryła twarz doktorowej, nogi się pod nią zachwiały, nie mogła kroku postąpić, myśl, że jęj Lenkę spotkał jakiś okropny wypadek, sił ją pozbawiła, i ledwie wyszeptała zdolała:

— Moja Lenka, co się stało mójj Lence?

— Lence, ciociu, nic się nie stało — rzekła zmieszana trochę bladością ciotki dziewczynka — tylko... tylko Lenka wylała całą szklankę wody na swoją nową sukienkę.

Mimo przerażenia, jakiego doznała, p. Z. nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, spojrzawszy na zakłopotaną minkę dziewczynki.

— Niedobre dziecko — rzekła matka — tyle już razy napominaliśmy cię, abyś była umiarkowaną w opowiadaniu, nie poprawiasz się jednak. Widzisz, jak przeraziłaś ciotkę, ona jeszcze nie wie, co znaczą twoje okropne wypadki, które na nas nie robią już żadnego wrażenia.

Bronisia rozplakała się.

— Mój Boże — mówiła łkając — czyż to nie wypadek? Lenka nowiutką sukienkę oblała od góry do dołu, całą, całą, całą, aż z nięj woda ciecie.

— Myślę, że i w tём połowa będzie prawdy — rzekła matka wzruszając ramionami — Bronisi niezadługo w całym domu nikt wierzyc nie będzie.

— Alboż kiedy skłamałam? — rzekła dziewczynka marszcząc brew, co ją nadzwyczaj czyniło podobną do matki — ja zawsze prawdę mówię, ja nigdy nie kłamię, ciotuleńko.

Na te słowa Lenka z Henią weszły do pokoju.

— Oho, już pewnie Bronisia opowiedziała o okropnym wypadku, jaki spotkał Lenkę — rzekła Henia wesoło — byłam pewna, że ta zwiastunka wszystkich strasznych wieści pobiegła jak iskra elektryczna opowiedzieć o tём nowem nie-szczęściu.

Doktorowa wyciągnęła ręce do swęj pieszczonęj jedy-naczki, a dziewczynka utuliła się w jęj objęciu.

— Jeżeli tak wszyscy na mnie — rzekła Bronisia — to choćby się świat przewrócił, nie powiem nikomu ani słówka; a przecież mówię zawsze prawdę.

— Przepróś ciotkę za chwilowy przestרח — rzekła łagodnie p. Zygmunтова — ciocia się bardzo przejęła, myśląc, że Lence naprawdę wydarzył się jakiś straszny wypadek.

— Istotnie straszny — rzekła Lenka — piłam wodę, bujęnęła mi się szklanka, oblałam sobie cokolwiek sukienkę, ale się nie splamiła, mateńko, i już sucha zupełnie.

Heni żal się zrobiło małej gadulskiej, która stała zawstydzona, mimo że śmiało patrzyła po wszystkich; przecież mówiła prawdę, tylko trochę przesadziła; nie myślała o tём, że rzecz tak mała na pozór, czasami wiele złego uczynić może. Henia zbliżyła się więc do siostrzyczki i przyprowadziła ją do matki.

— Niech mateczka daruje Bronisi, ona nie widziała dobrze, jak to tam było z tą wodą.

Tym razem straszny wypadek zakończył się wesoło, wszyscy się śmieli, i powrócili do sali, aby kończyć chwilowo przerwaną zabawę.

— Czy wiesz — mówiła Lenka do Heni — gdy usiadły przy małym stolyczku, chrupiąc jak wiewiórki orzechy i różne bakalie — znalazłam nareszcie przyjaciółkę, tak zawsze pragnęłam przyjaciółki, a nie miałam jęj dotąd. Chciałabym bardzo, abyś poznała moję Terenię.

— Ja nie chcę innęj przyjaciółki, prócz ciebie — odpowiedziała Henia z lekkim odcieniem zazdrości w głosie — kocham cię jak siostrę i jak przyjaciółkę.

— Alboż ja nie kocham cię, Heniu! — zapytała Lenka ze zdziwieniem — ale widzisz ta Terenia, to taka niezwykła jakaś, niepodobna do ciebie, do mnie i do nikogo znanego mi dotąd. Jestem pewna, że pokochasz ją tak samo, jak i ja.

— Więc to jakaś cudowna istota — rzekła Henia głosem, nie znamionującym zbytniej sympatyi dla nieznanomęj przyjaciółki Lenki — powiedzże mi, co w nięj osobliwego dopatrzyłaś?

— Nie umiem ci tego określić; panna Jadwiga nazywa ją idealnem stworzeniem — odrzekła Lenka. — Wyobraź sobie dziewczynkę bladą, szczupłą, wysoką, o dużych pięknych oczach, a taką łagodną, taką dobrą, że chyba niema ani jednęj wady.

— Musi być szalenie nudna — mówiła nieprzejeđnana jeszcze temi pochwałami Henia — wyobrażam sobie, że jest mdła, jak lukrecya smaźona.

Lenka na te słowa okazała trochę niezadowolenia, i rzekła na pozór obojętnie:

— Jak ją poznasz, będziesz wtedy sąd wydawać, teraz mówisz z uprzedzeniem niesłusznym.

— Zabrała mi twe serce i przyjaźń — odpowiedziała tamta z goryczą.

— Nie, Heniu moja, Terenia nic nie zabrała, co było twoją. Terenia cię nawet kocha, choć zna cię tylko z mego opowiadania.

— Dziękuję, mam jednak przecucie, że nie będziemy sobie przyjaciółkami — odpowiedziała Henia.

— Szkoda, a ja myślałam, że my trzy będziemy stanowiły wieczną, nierozzerwaną przyjaźń — rzekła Lenka ze smutkiem.

Dalszą rozmowę przerwał służący, oznajmiając, że kolacya podana, i obiedwie panienki rade były temu, gdyż dłuższa gawędka mogła się skończyć wcale nieprzyjemną sprzeczką.

Cały czas gościom w Orlinku zszedł miło i wesoło, ale zbliżał się dzień odjazdu, co wywoływało chmurki na czoła dzieci. Im się zdawało, że święta takie choć miesiąc trwać powinny, a tu po tygodniu wszyscy myślą o odjeździe.

— Ach! ten czas pożyczyl chyba skrzydeł od jaskółek — utrzymywała Bronisia, siedząc na kolanach dziadusia — a kto układał kalendarz z takimi krótkimi świętami, nie musiał być bardzo mądry — zakończyła poważnie.

* * *

(d. c. n.)

ODSZUKANA ZGUBA.

POGADANKA NAUKOWA.

Przy końcu Listopada ubiegłego roku wszyscy astronomowie z zajęciem wielkim spoglądali ku niebu, zapowiadano bowiem, że około 27 tego miesiąca widać będzie niezwykle mnóstwo gwiazd spadających. I sprawdziła się ta przepowiednia, gdyż była na ściślejszych obliczeniach matematycznych oparta; u nas coprawda i prawie w całej Europie północnej pięknie to zjawisko nie było wcale widzialne, gdyż gęste chmury osłaniały niebo w tym czasie, lecz w krajach południowych, jak donoszą dzienniki, widok był przepyszny. W dniu oznaczonym, to jest 27 Listopada, zaraz po zachodzie słońca rozpoczęło się widowisko rzadkie i wspaniałe. Gwiazdy sypały się w niesłychanej obfitości, jakby deszcz ognisty, a wszystkie prawie wychodziły z jednej okolicy nieba, z pośród gwiazdozbioru Andromedy. Niektóre duże i świetne ciągnęły za sobą smugi błyszczące, inne nakształt rac rozpryskiwały się na wszystkie strony, widziano na raz po kilka i kilkanaście ogników, biejących w rozmaitych kierunkach. Próbowano je rachować, lecz sprawa była niełatwa, czasem wypadało po kilkadziesiąt na minutę, to znów po kilkadziesiąt na sekundę. W przybliżeniu obliczono, że kilka milionów co najmniej spaść ich musiało w przeciągu tych kilku godzin.

Czytelnicy nasi nie wyobrażają sobie zapewne, że to prawdziwe gwiazdy spadały deszczem z nieba; ta nazwa gwiazd, w potocznej mowie używana, całkiem jest niestosowna dla tych błyszczących ogników, które powinny się nazywać meteorami. Czém one są właściwie, o tém doskonale wiemy, bo często te świetne płomyczki, udające gwiazdy, naprawdę spadają na ziemię i wtedy zowią je aerolitami. Są to poprostu kamyki, widocznie w ogniu osmalone, w chwili spadnięcia mocno rozpalone i gorące. Łatwo także zrozumieć, zkad pochodzą te drobne ciała; oczywiście krążą gromadami w niezmiernych przestrzeniach wszechświata, a jeśli które w wędrówce swojej zbliżą się za nadto do naszej ziemi, wnet ulegają sile przyciągania tej ogromnej masy, spadają więc na nią, zupełnie tak samo, jak wszystkie przedmioty na ziemię spadają. Lecz cóż się dzieje; kamienie te, zanim się na powierzchnię ziemi dostaną, muszą się przecisnąć przez atmosferę, a chociaż powietrze, zwłaszcza w tych wysokościach, naderwycząj jest rzadkie, zawsze jednak rozpędzone ciało silny napotyka opór, bieg jego się zwalnia, za to w skutek tarcia wywią-

zuje się ciepło i meteoryt płonie, jak pochodnia. Zazwyczaj też szybko bardzo spala się całkowicie i żadnego śladu po nim nie zostaje, lecz czasem szczątki osmolone i zczerniałe spadają na ziemię w postaci aerolitów.

Ciekawe jest jednak pytanie, dla czego te meteority w pewnych porach roku, a czasem co kilka i kilkanaście lat, w oznaczonym czasie, obficie niż zwykle nawiedzają ziemię? Wiadomo np., iż w Sierpniu, około Ś-go Wawrzyńca, zawsze więcej gwiazd spadających widzieć można. Toż samo powtarza się i w Listopadzie. Astronomowie przypuszczają, że ogromne rojowiska drobnych tych ciał krążą ustawicznie naokoło słońca, tak samo, jak ziemia i inne planety. Gdy więc droga ziemi zetknie się z drogą takiego rojowiska, rzecz prosta, iż większa ilość meteorytów wpada do naszej atmosfery i w niej się zapala.

Przed kilkunastu laty astronom włoski Schiaparelli spostrzegł, że drogi rojowisk aerolitów w szczególny sposób się schodzą z drogami niektórych komet w przestrzeniach niebieskich. Ztąd przyszedł do wniosku, że owe komety ogoniaste, które niekiedy ukazują się na niebie, są także złożone w części przynajmniej z podobnych drobnych ciałek, to jest z aerolitów. To przypuszczenie dużo ma za sobą prawdopodobieństwa, a obfity deszcz gwiazd spadających, obserwowany w Listopadzie roku zeszłego, zdaje się także je potwierdzać. Ażeby to zrozumieć, musimy wam opowiedzieć dzieje pewnej komety, która dziwne przechodziła koleje, po kilka razy się pojawiała na niebie, powracała najakuratniej w oznaczonym czasie, straszyla nawet ludzi po trochę, chociaż to już za dni naszych nikt się komet nie boi w tak niedorzeczny sposób, jak niegdyś przed wiekami; w końcu zaś awanturница ta kometa rozprysła się i znikła, wpadła, jak kamień w wodę.

Było to w roku 1826, gdy pewien wojskowy austriacki, nazwiskiem Biela, spostrzegł pierwszy kometa niezbyt okazałą, bo tylko przez teleskop widzialną i dał znać o niej astronomom. Nadano komecie jego nazwisko, a badając ją uważnie, przekonano się, że już przedtém parę razy była widzialną. Obliczono też dokładnie jej drogę i okazało się, iż kometa Bieli powinna powracać w sąsiedztwo ziemi co lat sześć i kilka miesięcy.

W roku 1832 już na pewno jej wyglądano i wówczas to, jak wspomnieliśmy wyżej, kometa owa zatrwożyła nieco ród ludzki; wypadło bowiem z obliczeń, że droga jej miała się w jednem miejscu zetknąć z drogą ziemi. Komety nie są wcale straszne, póki tam gdzieś w oddalonych przestrzeniach wywijają ogonami, ale na myśl, że ogon ten tajemniczy, niewiadomo z czego złożony, czy z kamieni, czy z gazów duszących, zawadzić może o ziemię, każdemu się trochę straszno robiło. Wyglądano też z pewnym niepokojem powrotu komety Bieli, tymczasem ona sobie przebiegła szczęśliwie przez ów punkt niebezpieczny na miesiąc wcześnięj od ziemi, co zresztą astronomowie także przewidzieli, i nic się złego nie stało.

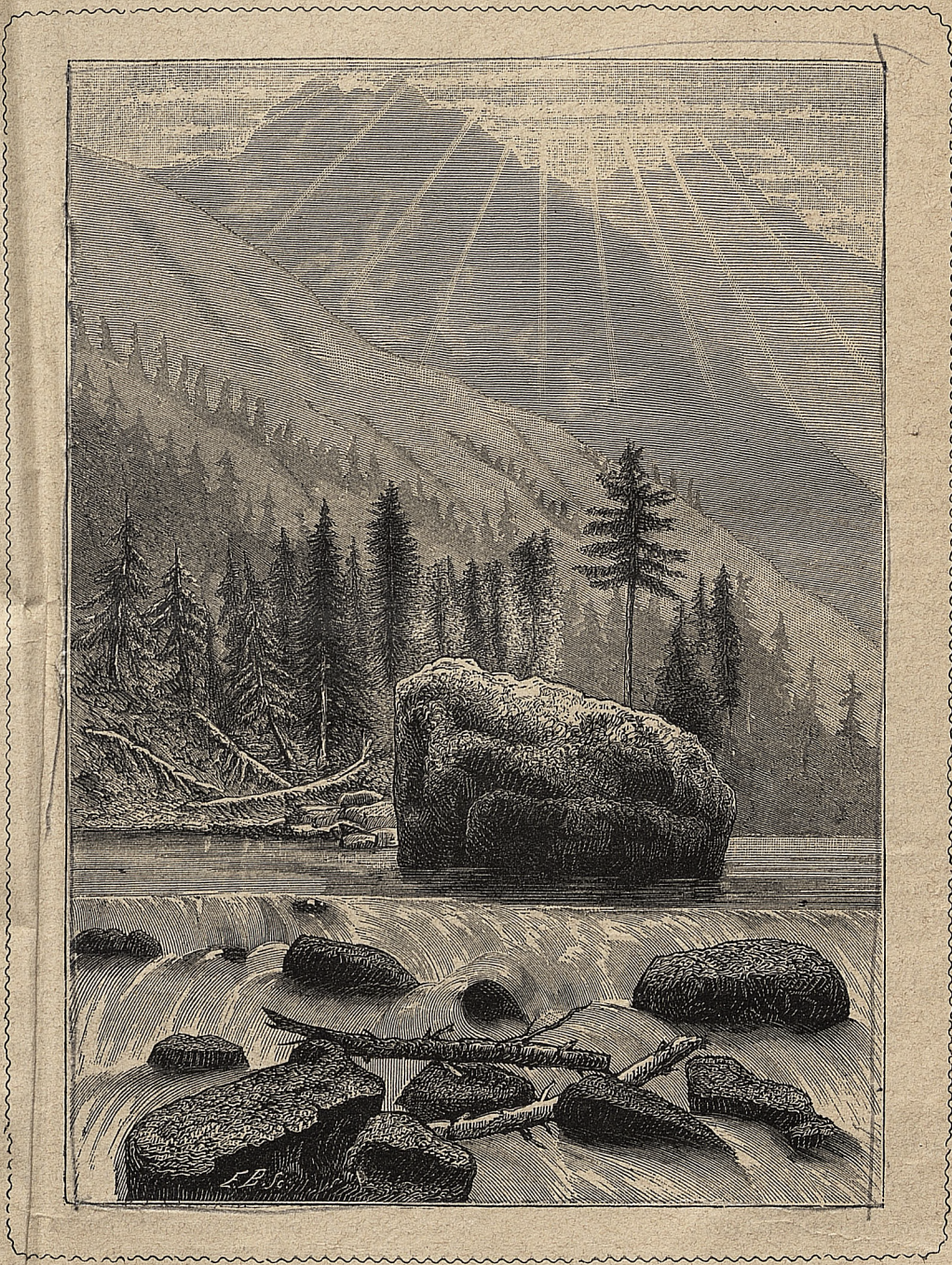
W roku 1839 spodziewano się nowych odwiedzin, lecz kometa zawiodła oczekiwanie, nie pokazała się wcale, aż dopiero, gdy nadszedł drugi termin, w r. 1845, pojawiła się w porę, lecz wyprawiła niespodziane widowisko zdumionym astronomom. Wyobraźcie sobie, że rozpadła się nagle na dwoje, jedna część większa biegła osobno, wlokąc ogon za sobą, a druga malutka z malutkim ogonkiem obok niej dażyła w tę samą stronę i w końcu obie razem pogrążyły się w przestrzeniach niebieskich. Raz jeszcze dziwna ta kometa ukazała się w r. 1852, zawsze rozdwojona, tylko ogony w obu częściach były już prawie niewidoczne; potem wszystko znikło, nie widziano więcej komety Bieli, chociaż nie szczędzono starań i ile razy zbliżał się czas oznaczony, wszystkie teleskopy szukały jej pilnie po niebie.

Znów tedy w r. 1872 nadaremnie wypatrywano zbiega na wszystkie strony, natomiast jednak zauważono, że w czasie, gdy kometa w biegu swoim miała się przybliżyć do ziemi, niesłychana ilość gwiazd spadających poczęła się sypać z jednego punktu nieba, z okolicy, którą zajmują gwiazdozbiór Andromedy. Zaraz też astronomowie wpadli na myśl, że to kometa Bieli taki deszcz ognisty spuszcza na naszą atmosferę

i czekano tylko powtórzenia zjawiska. Otóż powtórzenie to nastąpiło właśnie 27 Listopada ubiegłego roku, w tym czasie bowiem, według obliczeń astronomów, droga komety powinna była zbliżyć się znowu do naszej ziemi.

Tak więc zguba jest odszukana, a z tego wszystkiego wnosić można najpierw, że kometa Bieli, w skutek jakiejś katastrofy, rozerwała się na części drobniejsze jeszcze od tych, które dwa razy widziano, dla tego też zapewne rozszar-

stkich innych ciałach niebieskich, z tego, co wiemy o słońcu, możemy wnosić o tém, czém są gwiazdy stałe, te słońca niezmiernie od nas oddalone, planety porównujemy znów do naszej ziemi, lecz komety do niczego nie są podobne. Dla czego drogi ich bywają tak nadzwyczajnie wydłużone, że raz zbliżają się do słońca i wystawione są na żar najstraszniejszy, to znów odbiegają w przestrzeń oddaloną, gdzie wieczne zimno panuje, tego już wytłómaczyć niepodobna.



Dolina Białej wody w Tatrach (str. 6).

pane to ciało niebieskie przestało być widzialnym. Powtórę deszcz gwiazdzisty, ukazujący się w atmosferze ziemi w tój porze właśnie, gdy wypada przejście komety, potwierdza przypuszczenia astronoma Schiaparelliego. Oczywiście bowiem ta obfitość meteorytów pochodzi z komety niewidzialnej, a więc musi cząstkę jej stanowić. Spotkanie zaś ziemi z kometą wcale, jak widzimy, nie jest straszne, nie grozi nam zagładą, tylko zapala wspaniały fajerwerk na niebie.

Nie wyobrażajmy sobie jednak, że te spostrzeżenia wyjaśniają już zupełnie naturę komet i znaczenie ich w ustroju wszechświata. Dokładniejsze daleko pojęcie mamy o wszy-

Obliczono naprzykład, że kometa Halleya, która powraca w sąsiedztwo ziemi raz na lat 66, w porze największego swego zbliżenia do słońca musi znosić pięć tysięcy razy więcej ciepła, aniżeli na krańcu przeciwnym swojej drogi. Żar to jest niepojęty dla nas, mieszkańców ziemi, astronomowie upewniają, że nieszczęsna ta kometa musi być dziwnie wytrzymała, skoro dotychczas uchroniła się od całopalenia. Cyfry wprawdzie niewiele w takim razie dopomagają do utworzenia sobie pojęcia o stopniu gorąca, które w tych sferach panują, powiemy wam jednak, że kometa Halleya w największym swém przybliżeniu do słońca wystawiona jest na gorąco dwa tysiące

razy silniejsze od temperatury żelaza, rozpalonego do czerwoności. Wszystkie ciała, wchodzące do jej składu, muszą się wówczas chyba topić i ulatniać, jakim sposobem jednak mogą się od zagłady uchronić? Na to pytanie nauka nie ma odpowiedzi.

Gdy potem z kolei kometa zapełdzi się w dziwnym swym biegu w niezgłębione przestrzenie, gdzie promienie słońca prawie już nie przygrzewają, wszystko na niej musi znów krzepnąć, zastygać, kamienieć. Są to rzeczy zdumiewające, niepojęte, wędrownka tej biednej komety, która raz pali się wśród najokropniejszego żaru, to znów marznie straszliwie, wygląda zupełnie na jakąś fantasmagoryę z Tysiąca i jednej nocy. W przyrodzie na każdym kroku napotykamy czary podobne, a umysł człowieka niewymownej doznaje rozkoszy, ilekroć mu się uda wykryć jakąś niteczkę przewodnią, która go doprowadzi do światła i odsłoni choć w drobnej części tajemnice wszechmocy Bożej.

M. J. Z.

Do Tatr.

WINCENTEGO POLA.

Odwieczne Tatry, strażnice Piastowe,
Zdawnaście znane, a wieczniście nowe!
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i źrenica wiecznie tutaj gościami...
Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością.
Bo nie wziąć myślą, co oko zakreśli,
Ani wziąć okiem, co ogarną myśl...
Ani was ująć, ni duchem wyświecić,
Ni w was się wcielić, ni nad was wylecieć.
Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
I rozegrana — bo nikomu górą...
I gdyby nie lud, co dumne te czoła,
I te przepaści oplątał ścieżkami,
I prostym zmysłem zaludnił dokoła
Ten świat w obłokach swojemi gadkami...
Gdyby nie powieść, co swemi uśmiechy
Rozjaśnia wasze ponure milczenie —
Widok ogromu byłby bez pociechy,
Bo duch pojmuje tylko ducha technienie,
A wy, strażnice, śniegami świecące,
Stoicie wiecznie niemo i surowo,
I dla tych ludzkich pokoleń milczące,
Odkąd w was Boże skamieniało słowo!

ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez **Mayne-Reid'a.**

Słówko wstępne.

Jest to ostatnia praca zasłużonego autora, któremu młodzież zawdzięcza tyle pięknych i pouczających opisów podróży w różnych częściach świata. Mayne-Reid zakończył życie wkrótce po ukończeniu tego opowiadania, które jest niemniej zajmujące od dawniejszych, znanych i czytelnikom polskim z licznych przekładów. W „Ziemii Ognistej” tak samo, jak i w innych utworach swoich, autor umiał przyjemność łączyć z pożytkiem, mieszcząc wśród opisu niezwykłych przygód liczne wiadomości naukowe i zapoznając młodych czytelników z całą przyrodą oddalonych krain, przez którą bohaterów swoich przeprowadza.

I.

Morze!... Morze!...

Stary gościniec, prowadzący z Londynu do Portsmouth, jest jednym z najbardziej malowniczych w całej Anglii. Wspomnienia przeszłości, które widok tej okolicy budzi w umyśle wędrowca, podnoszą jeszcze urok pięknego krajobrazu. Gościniec ten coprawda dziś jest już mało uczęszczany i zaniedbany nieco: kiedyniekiedy tylko napotkać można wykwintny zaprzęg którego ze znaczniejszych właścicieli ziemskich, skromny powozik lekarza wiejskiego, ciężki wóz gospodarski, lub brykę dzierżawcy, śpieszącego na targ do poblizkiego miasteczka. Inaczej bywało przed laty pięćdziesięciu, gdy tę samą drogę przebiegało dzień w dzień po kilkadziesiąt wozów pocztowych czterokonnych, wiozących do stolicy, lub wielkiego portu handlowego, tłumy podróżników. Podróżnicy ci byli to po większej części marynarze, śpieszący do Londynu, po odbyciu dalekiej morskiej żeglugi, lub powracający ztamtąd do Portsmouth, by puścić się znowu na burzliwe fale oceanu. Najznakomitsi żeglarze angielscy, nie wyłączając wielkiego Nelsona, przebywali niejednokrotnie tę drogę w owych karetkach pocztowych, wlokących się leniwie wśród obłoków kurzawy. Za karetkami pocztowymi toczyły się wozy naładowane rozmaitemi towarami. W czasach naszych, i podróżników, i towary, przewożą dniem i nocą pociągi kolei żelaznych.

Wszystko to należy do przeszłości. Dziś rzadki przechodzień, zabłąkany na starym gościńcu, słyszy co chwila gwizd lokomotywy, chyże pociągi migają mu przed oczyma, pędząc po szynach, przeprowadzonych równolegle z dawną drogą i uragać się zdają żółwim jego krokom. Z dawniej świetności nic tu nie pozostało, tylko dwa rzędy drzew wspaniałych po obu stronach gościńca i niezliczone gospody, które niegdyś niepospolitę używały sławy.

Dzisiaj biedne te gospody także już nieosobliwie wyglądają, ściany ich kruszą się i opadają, obszerne podwórza porosły trawą, stajnie stoją próżne lub mieszczą czasem co najwyżej parę szkap fornalskich; wieśniacy w grubych butach i wyszarzanym odzieniu snują się po tych samych kątach, gdzie niegdyś widziano tylko strojnych pocztylionów w palonych butach, o brzęczących ostrogach, w okazałych płaszczach i kapeluszach ze złocistymi galonami.

Do dawnego tego gościńca przywiązane są także i ponure podania. I tak naprzykład: na wierzchołku małego wzgórza Southdown, od którego pochodzi nazwa słynnej rasy owiec, jest jama ciemna, głęboka, jakby rozwartą krater wulkanu. Gościniec, wspinając się na wzgórze, bieży tuż obok tej przepaści, a na jej brzegu stoi słup kamienny, z jednej bryły wykuty, wzniesiony tam na pamiątkę smutnej śmierci pewnego majtka, który w tym miejscu był zamordowany, ciało zaś jego mordercy wrzucili w ową ciemną czeluść, którą lud przezwał „Puharem dyabelskim”. Napis na pomniku głosi, że winni zostali schwytani i śmierć sromotną ponieśli na tym samym miejscu, gdzie zbrodnię swą spełnili.

I otóż właśnie u stóp owego granitowego słupa zatrzymał się pewnego pięknego czerwcowego poranku młodzieniec, mogący mieć około czterestu lub piętnastu lat wieku. Słońce wzbilo się już wysoko na niebie, lecz osłaniała je gęsta mgła biała, tak pospolita w południowej Anglii. Mgła ta skupiona była w dość wąską, jednostajną smugę ponad linią widnokregu i można ją było z daleka wziąć za warstwę śniegu, pokrywającą stoki pagórków, których wierzchołki zarysowywały się wyraźnie powyżej, jakby pozbębione wybrzeża lądu na morzu. Piękne to zjawisko optyczne dość często widzieć można w tej okolicy.

Ale młody wędrowiec, który stał nad brzegiem „Puharu dyabelskiego” nie zważał wcale na ten czarujący widok, w myślach jego snuły się widocznie inne obrazy i pochłaniały go całkowicie. A jednak w wiru twarzy młodzieńca można było wnosić, że mgła pożądana była dla niego, że rad się w niej ukrywał, unikając wzroku ludzkiego. Dziwny niepokój przebiegał w całej jego postawie, co chwila spoglądał ukrad-

am dokoła i nasłuchiwał, jakby się obawiał pogoni. Upe-
 wiwszy się, że żaden szmer podejrzany się nie odzywał, ani
 ent konia, ani turkot powozu, odetchnął swobodniej
 siadł na murawie przy drodze, kładąc obok siebie mały
 zalek podróżny, zawierający trochę bielizny. Musiał on
 być daleką drogę, bo wyglądał zmęczony, a odzienie miał
 rzem okryte; ale dlaczego tak widocznie obawiał się pogo-
 Trudno go było posądzić o jakiś czyn hańbiący, na twa-
 jego malowała się szczerłość, niewinność dziecka, wycho-
 nego pod wiejską strzechą przez rodziców uczciwych. Jeśli
 zewinił, to pewnie po raz pierwszy w życiu, gdyż młodzie-
 ten nie był bez winy, musimy to wyznać, wymknął się
 domu rodzicielskiego bez pozwolenia, sprzeciwił się woli
 ca.

Młody wędrowiec nazywał się Henryk Chester, był synem
 możnego dzierżawcy z Godalminy, miejscowości o trzydzie-
 mil *) ztąd odległej. Przebył on pieszko całą tę daleką
 ogę. Co do powodów awanturniczej tej wycieczki, dowie-
 się o nich od niego samego, gdyż młodzieniec, zwyczajem
 dzi zaprzęgniętych gorączkowo wyłączną jakąś myślą, mówił
 osno o sobie:

— Nikt nie spostrzeże w domu mojej ucieczki przed go-
 iną śniadania, a o tej porze będę już zapewne w Ports-
 outh... Jeżeli tylko zdołam dostać się natychmiast na
 ki okręt, potrafię się tak urządzić, ażeby na ląd nie powra-
 ć przed podniesieniem kotwicy... Zresztą ojciec prawd-
 podobnie nie będzie miał tam szukać; stary cieśla w mówi
 niego z pewnością, że udałem się do Londynu, bo umyślnie
 u to powiedziałem, aby zmylić pogoń...

Figlarny uśmiech, który przy tych słowach pojawił się
 ustach mówiącego, znikł jednak szybko, zastąpił go wyraz
 poważniejszy. Mały zbieg przypomniał sobie matkę, pomy-
 ał o zmartwieniu, które tej biednej matce zgotował postęp-
 tem swoim.

— Kochana mateczka — szepnął — spłaczę się pewnie,
 siostrunia Emilcia także... będą w okropnej obawie!...
 ale ja je uspokoję bardzo prędko. Jak tylko sobie zapewnię
 miejsce na okręcie, zaraz do nich napiszę. No, i powrócę
 rzecież kiedyś i obaczmy się znowu.

Widocznie jednak rozumowanie to nie uciszyło odrazu
 wyrzutów sumienia młodzego Chestera, gdyż coraz gorliwiej
 łomaczył się sam przed sobą:

— Nie, ja naprawdę nie mogłem postąpić inaczej. Ojciec
 pierał się najnieśluszniej, chcąc mnie koniecznie wy kierować
 na rolnika, chociaż wiedział dobrze, jaki wstręt mam do tego
 rzemiosła. Wszak brat mój Dick dostateczną jest dla niego
 pomocą i potrafiłby go nawet zastąpić w razie potrzeby. Po-
 móż więc mam być skazany na wiekuiste oranie ziemi, skoro
 mam taką ochotę „pruć wesoło pierś morza”, jak mówi pio-
 senka... Ach, morze! gdybym nawet przez całe życie miał
 być prostym majtkiem, jeschceby się nie wyrzekł morza.
 Piękny i szlachetny jest zawód marynarza, zwłaszcza w poró-
 wnanu do nędznego losu, który miał być moim udziałem.
 Gdy rolnik życie całe spędza na ciasnej przestrzeni kilku łą-
 ców uprawnych i kilku pastwisk, w towarzystwie bydła do-
 mowych, przed żeglarzem świat cały stoi otworem, ogląda
 on tysiące rozlicznych widoków, zwiedza świetne stolice i por-
 ty bogate, poznaje ludy rozliczne o twarzach dziwacznych
 i osobliwych strojach, wysiada nieraz na oddaleni wybrzeża
 wyspy nieznane, zachwyca się urokiem przyrody zwrotniko-
 wej i ponurą pięknnością krain lodowatych... O! jakżeby
 pragnął widzieć to wszystko, puścić się w drogę dziś jeschce,
 chociażbym miał dla osiągnięcia tego szczęścia najcięższe
 przechodząc koleje, najniebezpieczniejsze stanowisko! Ale ja
 nie pozostanę długo prostym majtkiem, nie, to niepodobna...
 Będę pracował tak serdecznie, tak gorliwie wszelkich sił do-
 kładać, aby spełnić dokładnie swoje obowiązki, że wkrótce
 niezawodnie wyniosę się na wyższy stopień... Kto to może

wiedzieć? może za cztery, pięć lat, powrócę w mundurze ofi-
 cerskim... z kieszeniami pełnymi złota w dodatku... Któż
 będzie dumny i szczęśliwy, gdy do tego przyjdzie?... mate-
 czka moja droga i mała Emilcia... A kto będzie musiał
 przyznać, że miałem słusność? ojciec...

Tymczasem promienie słońca pochłoneły ostatnie ślady
 mgły w powietrzu i Henryk Chester, oglądając się dokoła,
 teraz dopiero spostrzegł słup kamienny, u stóp którego od-
 poczywał. Dotąd nie zauważył był nawet tego pomnika.
 Wstał i odczytał nadpis, wryty na tablicy marmurowej, na
 pamiątkę popełnionej tu zbrodni i kary, poniesionej przez za-
 bójców. Cień smutku przyćmił wesołą i ożywioną twarz
 młodzieńca. Czyżby ta wzmianka o strasznym losie nieszczę-
 snego żeglarza miała być wróżbą niebezpieczeństw, które
 i jego czekały w tym zawodzie? Henryk Chester nie był
 przesadnym i nie chciał przypuszczać nic podobnego, a jednak
 przykre wrażenie, którego doznał, wpłynęło mimowoli na
 usposobienie jego. Żywił się przedtem stanął mu teraz
 w myśli lzy matki i siostry, wybuchy gniewu ojca, dotkliwiej
 mu się czuć dały wyrzuty sumienia. Nowe wątpliwości zbu-
 dziły się w jego duszy, staczała się w niej walka wewnętrzna
 pomiędzy miłością synowską i samolubnymi pragnieniami.
 W tej chwili niewątpliwie jedno słówko serdeczne, rada przy-
 jacielska, byłyby go powstrzymały i zawiodły upokorzonego
 w progi rodzicielskiego domu, gdzie nad nim teraz lzy wyle-
 wano. Lecz w tym samotnym miejscu nie było nikogo, ktoby
 to słówko wymówił i dał dobrą radę, więc Henryk Chester
 ruszył w dalszą drogę.

(d. c. n.)

Zagadka z dziejów literatury.

Dwa wieki mija od czasu, gdy w krainie oblanej rzeką
 Wartą przyszła na świat kobieta, która wielką sławą zają-
 śnić miała, i pośród współczesnych, i w potomnych wiekach.
 Żyjąc w czasach, gdy jeschce wyższe wykształcenie rzadko
 kiedy było kobiet udziałem, ona to wykształcenie zdobyła
 o własnych siłach, a posiadając talent niepospolity i umiło-
 wawszy gorąco język ojczysty, stała się ozdobą piśmienni-
 ctwa.

Kobieta ta nie zaniedbała przytém obowiązków, płci
 swojej właściwych, była wzorową żoną i matką. Wyszędłszy
 za mąż, zamieszkała w okolicy niezbyt odległej od źródła
 Wisły. W licznych swych poetycznych utworach czerpała
 przeważnie treść z historii biblijnej, lecz talent jej wszech-
 stronny z wielkim powodzeniem nagiął się do różnych
 przedmiotów, a najpiękniejsze, najwyżej cenione dzisiaj jej
 utwory, są to mistrzowskim piórem skreślone opisy przy-
 rody.

Po śmierci małżonka, zapewniwszy przyszłość dzieci,
 zacna matrona poszukała schronienia w klasztorze, gdzie
 w podeszłym wieku życie zakończyła. Poezje znakomitej
 tej niewiasty na ósm lat przed jej śmiercią, dopiero zebrane
 były i drukiem ogłoszone. Czystość i piękność języka, i to
 w czasie, gdy go inni pisarze cudzoziemczyzną i przesadą ka-
 zili, wielką jej zasługę stanowi.

(Odgadnąć nazwisko tej poetki, opisać treściwie, jasno,
 niezbyt rozwlekłe, życie jej i wymienić znaczniejsze prace.
 Kto nadeśle najlepsze rozwiązanie, otrzyma książkę pod tyt:
 „Kopciuszek” przez Teresę Jadwigę, a rozwiązanie będzie
 wydrukowane. Trzeba dodać podpis prawdziwy, adres dokła-
 dny, oraz pseudonym do druku. Rozwiązania będą przyjmo-
 wane do 15 Lutego).

*) Mila angielska równa jest prawie wiorście.

Rozwiązanie zagadki historycznej.

(Nadesłała 11-letnia Sosenka i otrzymała w nagrodę książkę pod tyt: „Ostatnie dni Pompei”).

Spytek z Melsztyna, który w końcu XIV wieku był jednym z najznakomitszych panów w Polsce i przeważny wpływ w niej wywierał, pochodził z rodziny Melsztyńskich, herbu Leliwa. Dziad jego Spicimir czyli Spytek, rycerz z nad Renu, przybył roku 1305 z Władysławem Łokietkiem do Polski, gdzie obdarzony był wielkimi dobrami, zbudował zamek Melsztyn i otrzymał godność kasztelana krakowskiego. Po śmierci Łokietka został nawet mianowany doradcą młodego Kazimierza. W późniejszych kronikach mylnie go Jaśkiem nazywano.

Starszy syn Spicimira Jan, który Melsztyn odziedziczył, miał dwóch synów, Jaśka, wojewodę sandomierskiego i Spytka, którego imię wkrótce sławnem stać się miało. W szesnastym roku młody Spytek został już mianowany wojewodą krakowskim, co zresztą wówczas dziwnem się nie wydawało, ponieważ dziad jego i ojciec piastowali wysokie godności*). On to szczególnie sprzyjał Jadwidze i przeciągnął na jej stronę wszystkich Leliwitów. Ziemowit, książę mazowiecki, uważał go za głównego sprawcę swego niepowodzenia w Krakowie i mszcząc się, spalił zamek jego Książ.

Spytek należał do poselstwa wysłanego po Jadwigę; podczas swego pobytu w Węgrzech poznał Elżbietę, córkę Emeryka, piastującego godność węgierskiego starosty Rusi Czerwonéj. Gdy Jadwiga przybyła do Polski i została ukoronowaną, Spytek głównie się przyczynił do jej małżeństwa z Jagiełłą. W dzień swéj koronacji król ten hojnie obecnych panów obdarzył, Spytek z Melsztyna otrzymał bardzo kosztowne złote sandały, ozdobione drogiemi kamieniami. Niedługo potem odbył się ślub młodego wojewody z ową Elżbietą, córką Emeryka, którą dawniej poznał w Węgrzech.

Jako ulubieniec królewski, któremu Jagiełło po części zawdzięczał swe wyniesienie na tron polski, Spytek był obsypany bogatemi darami. Po opanowaniu Rusi Czerwonéj, dostał mu się obwód Samborski, nakoniec otrzymał prawem feudalnym Podole, z obowiązkiem bronienia całego kraju od napadów tatarskich, które go wówczas trapiły.

W roku 1399 Witold postanowił zniszczeniem saméj Ordy położyć koniec tym najazdom. Wielu znakomitych rycerzy polskich przyłączyło się do niego, pomiędzy nimi znajdował się i Spytek. Nad Worską ujrano zgromadzone wojska tatarskie, Spytek, widząc ogromną liczbę nieprzyjaciół, chciał powstrzymać Polaków od bitwy, ale jego przedstawienia były z pogardą odrzucone. Jeden towarzysz broni ośmielił się nawet powiedzieć, że nie powinien innym do bitwy przeszkadzać, jeżeli sam tęskni za piękną żoną i bogactwami. „Bóg będzie sędzią między mną a tobą—odpowiedział mu na to Spytek—jeszcze przed zachodem słońca zginę śmiercią walecznych, a ty sromotnie ucieczesz”. Wkrótce się okazało, że Spytek miał słusność, gdyż Polacy nie mogli się oprzeć przeważnej liczbie nieprzyjaciół. Sam Witold musiał ratować się ucie-

*) Według Długosza i Niesieckiego. Niektórzy historycy współcześni, na podstawie innych dokumentów, zaprzeczają temu i utrzymują, że Spytek w dojrzałym już wieku został wojewodą krakowskim (Przyp. red.).

czką, lecz Spytek nie dał się do tego namówić, natarł na tarów z orężem w rękę i zniknął pośród nich. Nikt nie miał go ginącego i długo jeszcze nie wiadano, czy znał śmierć czy niewolę. Wielki ten wojewoda nie zostawił potępstwa, na bracie jego Jaśku wygasła linia Melsztyńskich. Tarnowskich, idąca od Rafała, młodszego syna Spicimira dotąd istnieje.

(Oprócz tego bardzo dobre rozwiązania nadesłali: 10-letnia Choinka — 11-letnia Czarnulka — 10-letni Orlik z Noteci — 10-letni Skowronek z nad Styru — 15-letnia Włislawa — 10-letnia Wiselka. Pseudonimy ułożone są według wartości wypracowań, lecz według porządku alfabetycznego).

SZARADA (M. P.).

*Pierwsze, drugie, trzecie,
Znajdziesz w alfabecie.
Czwarte samo bez znaczenia,
W połączeniu z innymi nabiera wartości.
Niechaj ci wszystko przedstawia marzenia,
Bo niema ich w rzeczywistości.*

Łamigłówka zgłoskowa (Wiochna).

Z następujących zgłosek: a—a—e—grzy—i—ko—k—me—ni—o—o—pe—ran—ra—rat—ri—ru—ryk—sku—ta—wa—woc—zy—ułożyć wyrazy: 1. Miejsca pożądanego na pustyni. 2. Sprzęt domowy. 3. Produkt roślinny. 4. Kierunek w Ameryce. 5. Góra w Azji. 6. Nazwa Pisma peryodycznego. 7. Miasto na półwyspie bałkańskim. 8. Księga religijna. 9. Nazwa zabawy w starożytności. 10. Imię męskie. Pierwsze litery, odczytane od góry do dołu i ostatnie w kierunku przeciwnym, utworzą znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 51-go.

Homonimów:

Kotki, zwierzęta domowe, kotki czyli bazy, kwiaty nie-
zorne, właściwe naszym drzewom leśnym.

Łamigłówki zgłoskowej:

Piątek — Oskar — Piła — Indyk — Erlau — Lis.
Popiel — Krakus.

TREŚĆ: Nowy Rok, wiersz, Dobroczynca głuchoniemych i ociemniałych (z drzew.) p. Władysława Nowickiego. — Prawdziwe bogactwo, powieść przez autorkę Reginki (c. d.). — Odszukana zguba, pogadanka naukowa. — Do Tatr, Wincentego Pola, wiersz (z drzew.). — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie p. Mayne-Reid'a. — Zagadki z dziejów literatury. — Rozwiązanie zagadki historycznej. — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Sen dziecięcy wierszyk (z drzew.). — Dziwne iskierski. — Dobrze córeczki p. Helenę Bojarską. — Przygody nieposłusznej Andzi, p. L. T. — Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzynka do listów.



SEN DZIECINY.

Już mateczka miła
Małeństwo uspiła,
I spogląda na nie,
Na swoje kochanie.

Czas płynie i płynie;
Dziś błogo dziecinie,
W miękkiej kolebeczce,
Przy dobrej mateczce.

Nie zawsze tak będzie,
Gdy łatek przybędzie,
Wnet dowiesz się, dziecie,
Ze Bóg ci dał życie,
Abyś na tej ziemi,
Siłami własnymi,
Wszystko zdobywał,
I w dobrém wytrwał.

A teraz, dziecino,
Z modlitwą matczyną,
Usypiaj w spokoju,
Bez troski, bez znoju.

J. P.

DZIWNE ISKIERKI.

Adaś i Zosia pierwszy raz w życiu przyjechali ze wsi do Warszawy, do cici. Cicia obiecała ich oprowadzić po mieście i pokazać różne ciekawe rzeczy, ale pierwsze-g dnia musieli siedzieć w domu, bo już było późno i nim obiad się skończył, ściemniać się zaczęło na dworze. Starsi rozmawiali, a dzieci usiadły przy oknie i patrzyły w ulicę, bawiło je to niezmiernie, że tyle ludzi przecho-

dziło ciągle po chodnikach, a po bruku toczyły się nieustannie powozy.

— Ach! jaka prześliczna iskierka wyskoczyła z pod nogi koniowi — zawołał Adaś — czy widziałas, Zosiu? Co to może znaczyć? O, i druga, a taka błyszcząca, jak ogień prawdziwy; co to takiego?

— To prawda, dziwne rzeczy tu w tej Warszawie się dzieją — mówiła Zosia — u nas na wsi nigdy nie widziałam nic podobnego. Zkąd te iskierki się biorą? Czy z bruku tak wyskakują? Ale dlaczegoż tylko wtedy, gdy koniki biegną? Patrz, patrz, Adasiu, znowu taka śliczna wyskoczyła, jak błyskawiczka malutka.

I dzieci pobiegły do rodziców i do cici, opowiadając, co widziały, i zapytując, co to za iskierki? Mama Adasia i Zosi powiedziała, że im to później wytłómaczy, a teraz nie trzeba się naprzykrzać starszym, bo oni w tej chwili nie mają czasu się dziećmi zajmować. Dzieci były rozsądne i dobrze wychowane, zaraz odeszły i znów patrzyły przez okno; wszystko je zajmowało, ale najwięcej owe zabawne iskierki, wyskakujące raz po raz z pod kopyt końskich. Mama nie zapomniała o obietnicy i przyszła później do dzieci do okna, żeby im wytłómaczyć, co to znaczy.

— Czy to prawdziwy ogień, mamuniu? — zapytała Zosia.

— Najprawdziwszy — odrzekła mama.

— A zkądże on tam się bierze? — pytał znów Adaś.

— Wszak znasz dobrze zapałki, a nigdy ci nie przyszło na myśl zapytać, zkąd się w nich ogień bierze.

— No, bo zapałka się pociera i wtenczas ognik z niej wyskakuje — odrzekł Adaś.

— Toż prawda, mamusiu — mówiła Zosia — że i to także jest dziwne i ciekawe, zkąd w tej zapałce bierze się ogień. Ale nigdy mi jakoś nie przyszło do głowy zapytać.

— Bo na zapałki ciągle patrzysz — rzekła mama — więc już się do tego przyzwyczaiłaś. Iskierki, wyskakujące z bruku, obaczyłaś po raz pierwszy i dla tego cię zaciekawiły. Dawniej, gdy jeszcze zapałek nie było, służyło do zapalania ognia krzesiwo, którego wy wcale nie znacie, bo go już nikt teraz nie używa. Ażebyście zrozumiały, zkąd się te iskierki biorą, co z bruku wyskakują, muszę wam wprzód opowiedzieć, jak wygląda krzesiwo. Jest to poprostu kawałek stali i bryłka krzemienia, kamyczka bardzo twardego. Chcąc ogień zapalić, trzeba ową stalą uderzać szybko i silnie o krzemień, a natychmiast ukazują się iskierki takie same, jak te, co tu z bruku wyskakują. Dość podłożyć wówczas w tém miejscu kawałek hubki, rodzaj grzyba, co się bardzo łatwo zapala, ażeby z iskierki rozniecić ogień. Panowie dawniej zawsze takie krzesiwa nosili w kieszeni do zapalania fajki, jak teraz zapałki noszą.

— Aie, moja mamo, jakimże sposobem z takiego kamyczka może wyskoczyć ogień? — pytał Adaś.

— Trzeba wiedzieć — mówiła mama — że od tarcia każda rzecz się rozgrzewa. Toż nawet, gdy nam zimno w ręce, zaczynamy je pocierać jedną o drugą, a zaraz się

trochę rozgrzewają. Dzicy ludzie trą mocno dwa kawałki drzewa i tym sposobem ogień rozniecają. Krzesiwem toż samo robi się daleko łatwiej, twardy kamyczek, uderzając o stal, rozgrzewa ją w jednej chwili tak gwałtownie, że w miejscu uderzonem odrobinka żelaza odrywa się rozpalona i ogniem płonie. Ztąd właśnie owe iskielki, to drobniutkie kawałeczki żelaza wyskakują i palą się w powietrzu.

— A na ulicy, mamuniu, na bruku, co się robi? — pytały dzieci.

— W bruku jest dużo twardych kamiaków, krzemieni, a koniki mają podkowy żelazne. Gdy konik uderzy podkową o krzemień w bruku, to tak zupełnie, jakgdyby kto krzeszał ogień krzesiwem. Od uderzenia podkova się rozpała, odrobinki żelaza zapalają się i ulatują w powietrze w postaci iskierek.

— A teraz niech matunia jeszcze opowie — mówiła Zosia — co to w zapalkach tak się zapala odrazu, jak tylko je potrzeć.

— Na łebkach zapalek jest fosfor, a ten fosfor ma taką własność, że za najlżejszym potarciem zaraz się zapala; żelazo trzeba silnie uderzyć o krzemień, ażeby z niego iskielki wyskoczyły, ale fosfor dosyć tylko potrzeć troszeczkę o chropowaty jaki przedmiot, zaraz się rozgrzewa i płonie. Dlatego też takim fosforem pokrywają koniuszczki suchych patyczków drewnianych i to są zapalki. Wielka to wygoda te zapalki, lecz tylko dla ludzi rozsądnych, co się z niemi ostrożnie obchodzić umieją. Dzieci nie powinny nigdy zapalek dotykać, bo właśnie dla tego, że się tak łatwo zapalają za potarciem, są dla nich bardzo niebezpieczne; dzieci przez nieostrożne obchodzenie się z zapalkami mogą i same się sparzyć, i pożar nawet sprowadzić. Powinnyście także wiedzieć o tem, że fosfor jest straszną trucizną i nigdy, broń Boże, do ust nie brać zapalek.

Dobre córeczki.

— Moja Tola! długo tam jeszcze będziesz się uczyć?

— Zaraz skończę; a ty umiesz już wszystko?

— Właśnie w tej chwili skończyłam, ale i ty musisz się śpieszyć, bo już piąta, a o szóstej mamy wyjść.

— Wiem, wiem; ale moja najdroższa Alineczko, skończ skończyła wcześniej odemnie, to bądź tak dobrą, posprzątaj tu na stole a potem powiedz Kasi, aby nam przygotowała buciki; nim ona to zrobi, to i ja będę wolna.

— Dobrze, dobrze, już idę, wyjmę też zaraz sukienki i zobaczę, czy mama się ubrała; boję się tylko, aby nas goście jacy nie zaszli; nie miałabym wcale ochoty zostać dziś w domu, wiedząc, jak dobrze bawimy się zawsze na wieczorkach u cioci.

— A dziś jeszcze weselsza będzie zabawa niż zwykle — dodała Tola — mama mówiła, że przyjechała ze wsi mała nasza kuzyneczka, ulubienica cioci, to też dla tego samego wieczorek będzie sutszy.

— O! z pewnością; ale już idę, idę, byle prędzej! — i Alinka, poukładawszy wszystko na stoliku, pobiegła czempredziej do kuchni, lecz zobaczywszy tylko starą kucharkę, zmywającą talerze, zapytała z niezadowoleniem:

— A gdzie Kasia, nie wie czasem Franciszkowa? trzeba nam się ubierać, a tu niema nikogo do pomocy; zawsze gdzieś latać musi ta nieznośna dziewczyna! Trzeba oczyścić buciki, wytrzeć sukienki, a tu...

— Niech się pannusia nie gniewa, już ja to za nią zrobię, a zresztą i ona powinna też niedługo wrócić, bo poszła tylko do apteki po wodę uśmierającą dla pani.

— Dla mamy! — zawołała zaniepokojona dziewczynka, alboż mamie jest co?

— A toż głowa szalenie panią boli, panienki uczą się w swoim pokoju, to i nie wiedzą, a pani ledwie że na nogach utrzymać się może; teraz tak ludzie na tyfusy chorują, to i obawa też jest, skoro taki wielki ból uczepli się kogo.

— O! mój Boże! mój Boże! — zawołała Alinka, i wybiegłszy z kuchni, udała się do sypialnego pokoju. Wszedłszy cicho, na paluszkach, ujrzała matkę leżącą na kanapce, z obwiązaną głową, wypieki na jej policzkach i podkrążone oczy dostatecznie świadczyły o cierpieniu. Zmartwiona dziewczynka stanęła przy drzwiach, nie mówiąc ani słowa, z troskliwością tylko wpatrując się w drogie oblicze.

— Moja duszko — odezwała się matka, ujrzawszy ją — która to godzina? pewnie już późno, a widzę, żeś jeszcze nieubrana; co robi Tola? śpieszcie się, dzieci, ja zaraz też wyjdę, moje ubranie nie potrwa dłużej nad pół godziny, mam już wszystko przygotowane.

— Czyż podobna, aby Mateczka mogła pójść w takim stanie, nie, to, być nie może!

— Ależ, moja kochanko, to mała rzecz, chwilowy ból głowy i nic więcej, ubiorę się zaraz i pójdziemy; nie chciałabym pozbawiać was przyjemności spędzenia wesołego wieczorka. Gdybyś była nie weszła teraz do mego pokoju, nie byłybyście wcale wiedziały, że jestem cokolwiek cierpiąca.

— A tak — odpowiedziała z żalem dziewczynka — byłybyśmy mimowolnie naraziły mateczkę na przykrość; ale teraz za nic już nie pójdziemy na dzisiejszy wieczorek, nie mogłybyśmy się bawić, nie miałybyśmy wcale humoru.

— Przykro mi, że z mojej przyczyny chcesz się wyrzec przyjemności, ale z drugiej strony cieszy mnie bardzo ten dowód przywiązania; zrobię ci tylko jedną uwagę: mówisz ciągle w liczbie mnogiej: „nie mogłybyśmy się bawić, nie miałybyśmy humoru”, czyż możesz wiedzieć, że Tola tak samo czuje i myśli?

— O! tak, droga mateczko — zawołała z zapalem Tola, która właśnie w tej chwili wchodziła do pokoju, niosąc wziętą z rąk Kasi butelkę z wodą uśmierającą, — Alinka wie dobrze, jak mateczkę kocham i wie, że tak jak i ona nie mogłabym bawić się, wiedząc, iż mateczka czyni z siebie ofiarę, idąc z silnym bólem głowy tam, gdzie muzyka i nieustanny gwar powiększyć tylko mogą cierpienie; o! takiej zabawy nie pragniemy nigdy i dziś stanowczo jej się wyrzekamy!

Tu dziewczynki poczęły całować ręce matki, a ta z łzami w oczach dziękowała Bogu, że dał jej tak dobre i kochające dzieci. Na drugi dzień przybyła ciocia, aby się dowiedzieć, dlaczego najmilsi goście jej zrobili zawód

a choć przykra jej była ich nieobecność, serdecznie jednak uściskała dziewczynki za ich dobre serduszka.

Helena Bojarska.

Przygody nieposłusznej Adelci,

TEOMACZYKA Z ANGIELSKIEGO L. F.

ROZDZIAŁ I.

Pięknego sierpniowego wieczora troje dzieci bawiło się w jednym z ogrodów nadmorskiego miasta, oprócz tych trojga było tam jeszcze wiele innych dzieci; jedne grały w kręgle, inne w ślepą babkę, inne jeszcze w cztery kąty. te zaś, o których wspomnieliśmy na początku, bawiły się dużą piłką. Piłka ta była naprawdę ogromna taka, że najmłodszy, pięcioletni chłopczyk zaledwie mógł ją utrzymać. Siedmioletni jego braciszek i dziewięcioletnia siostrzyczka, chcąc go zabawić, często umyślnie upuszczali piłkę, ażeby i on też mógł ją złapać. Bona tymczasem siedziała pod drzewem z książką, a dzieci były tak grzeczne, że mogła czytać spokojnie.

Lecz nie wszystkie dzieci były do tych podobne. W innych gromadkach od czasu do czasu wszczynano się kłótnia i trzeba było używać pośrednictwa mamy, piastunki lub bony, dla przywrócenia zgody i porządku.

Z placu, gdzie grano w kręgle, dochodziło ustawiczne wołanie:

— Traćcieś mnie, naumyślnie to zrobięś!

— To ty wpadłaś na mnie, taka jesteś niezgrabna.

— Stój na swoim miejscu, niewolno przechodzić dalej! przeszkadzasz mi tylko!

Inne dzieci znów wołały:

— Złapałem cię, tylkoś mi się wyrwała.

— Nieprawda, nie złapałeś.

— Nie stałaś na miejscu, więc się to nie rachuje, i t. p.

Ale jasnowłose dzieci nie sprzeczały się, chociaż śmiały się i wykrzykiwały prawie tak głośno, jak inne. Gdy się bawiły w najlepsze, otworzyła się brama ogrodu i weszli jacyś państwo z dwiema dziewczynkami. Zdawało się, że nie znali tu nikogo, bo przez chwilę przyglądali się zabawom i weszli w jedną z alei. Młodsza z dziewczynek, idąc obok rodziców, rozmawiała z nimi, lecz starsza została w tyle i spoglądała zazdrośnie na dzieci, igrające na murawie. Głównie uwagę jej zwróciły jasnowłose dzieci, bawiące się dużą piłką; stała dość długo, patrząc, jak podrzucały tę piłkę i jak skakały, by ją złapać. Dziewczynka ta mogła mieć ośm lat, miała ciemne włoski i jasne żywe oczy. Stała chwilę, następnie pobiegła za rodzicami.

— Mamo — zawołała — proszę cię, zatrzymaj się proszkę, chciałabym ci coś powiedzieć.

Rodzice dziewczynek zatrzymali się.

— Mamo, czy mogę poprosić tych dzieci, żeby się ze mną bawiły?

— Moja kochana — odpowiedziała mama — wiesz przecie, że nie pozwalam ci bawić się z nieznanymi dziećmi.

— Ale, mamo — nalegała Adelcia — to takie miłe dzieci, pewna jestem, że są bardzo grzeczne.

— Nie wątpię o tym, ale nie wiem, czyje to są dzieci.

— Zapytam ich, mamo; nie będę się obawiała zapytać ich, jak się nazywają.

— Wierzę bardzo — odparł ojciec, śmiejąc się — ale one pomyślałyby z pewnością, że jesteś bardzo źle wychowana, a cóżby dopiero powiedziała ich bona, gdyby jakieś obce dziecko przyszło pytać ich: „Jak się nazywacie?” Nie, Adelciu, nie mogę na to pozwolić. Chodź z nami.

— To tak nudno chodzić spokojnie po ogrodzie — mruknęła Adelcia.

— Kostusia nie mówi, żeby tu było nudno — rzekł ojciec — nieprawdaż, córeczko? — dodał, biorąc za rączkę drugą dziewczynkę i idąc dalej.

— Nic dziwnego, że się nudzą, nie mając żadnego towarzystwa — powiedziała mama — lecz sądzę, że dziś lub jutro spotkamy państwa D.

— I ja tak sądzę — odparł ojciec — ich dzieci muszą być w wieku naszych dziewczynek.

— Jakie dzieci? mamo — zapytała Kostusia.

— Ciocia Mania ma tu znajomych i obiecała, że napisze do nich, donosząc o naszym przybyciu — rzekła mama — mam więc nadzieję, że wkrótce będziecie miały z kim się bawić.

Kostusia ucieszyła się bardzo, lecz Adelcia była w złym humorze i zachmurzyła się jeszcze więcej.

— Jestem pewna — mówiła z nadąsaną minką — że nie będę lubiła dzieci państwa D. wołałabym nawet nie zaznajamiać się z niemi; chciałabym tylko poznać te miłe dzieci, a jeżeli mama nie pozwala, to już wolę się bawić sama.

— Bardzo dobrze — powiedziała mama — możesz się nie bawić z dziećmi państwa D. ale zdaje mi się, że zbyt się śpieszysz, upewniając, że ich nie będziesz lubiła. Poczekaj lepiej, aż się z niemi poznasz.

Ale Adelcia była pewna, że się jej nie podobają; będą pewnie brzydkie, nieznośne, słowem zupełnie niepodobne do tamtych jasnowłosych dzieci.

— Tatusiu — prosiła — chodźmy im się przyjrzeć, gdy je zobaczysz, to ci się podobają; a czy mama z nami nie pójdzie?

Mama była zmęczona, usiadła więc z Kostusią na ławce, a ojciec odszedł z Adelcią.

Dzieci bawiły się jeszcze; pan S. ojciec Kostusi i Adelci, przyznał, że zabawa była bardzo wesoła, a dzieci grzeczne, nie zachwyciły go jednak tak, aby pozwolił Adelci bawić się z niemi, czego dziewczynka spodziewała się, przyprowadzając go tutaj.

Zatrzymywała jednak ojca, myśląc, że może w końcu ustąpi, ale napróżno, po chwili musiała wrócić do mamy i siostrzyczki, chociaż uczyniła to bardzo niechętnie.

Spotkali je na pół drogi, gdyż było już późno i czas wracać do domu, Adelcia jednak, wychodząc ostatnia, oglądała się jeszcze na dzieci, które jej się tak bardzo podobały.

Dom, gdzie mieszkała Adelcia z rodzicami, był naprzeciwko ogrodu, tak, że potrzebowali tylko przejść przez ulicę i otworzyć drzwi, aby być u siebie.

Na stole w sieni leżał list i kilka biletów wizytowych.

— Widzicie, dzieci — rzekła matka, przeczytawszy

list — nie czekałyście długo. Pani D. nie mogąc wyjść z domu, prosi, abym jej przywiozła jutro jedną z moich córeczek, żeby się zapoznała z jej dziećmi.

— Tylko jedną — westchnęła Kostusia; wiedziała bowiem, że starsza zawsze jest pierwszą. — To będzie pewno Adelcia.

(d. c. n).

ZAGADKA.

(Motylek z nad Sekwany).

Czy wprost, czy wspak,
Prędkiego czynu znak.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 51-go.

Łamigłówki kryształowej:

	G				
	K	O	T		
G	O	Ł	A	B	
	D	A	B		
	B				

Skrzynka do listów.

Plisze z nad Gopła dziękujemy za dowcipną szaradę. Powieść „Prawdziwe bogactwo” przeciągnie się jeszcze dłużej, o co czytelnicy pewnie się nie pogniewają. Dodatek powieściowy podawany jest stale przy naszym Piśmie. Lalkę oddano dzieciom w Szpitaliku. Co do dodatku książkowego, pomyłka zaszła w drukarni, zamieniono arkusze, lecz teraz czytelnicy już mają wszystko w całości. Serdecznie ich za tę małą nieprzyjemność przepraszamy. Przesyłamy liścik następujący:

„Kochana Pliszka z nad Warty! Chciałabym bardzo cię poznać i dowiedzieć się, jak się nazywasz, ile masz lat i gdzie mieszkasz. Co do mnie, mam lat 10, nazywam się Marynia (Maja), mieszkam w Warszawie.

Pliszka z nad Gopła”.

Uczniowi III-ciej klasy dziękujemy za wiadomość, że doświadczenie fizyczne, po długich niepowodzeniach, w końcu się jednak udało i iskierka wyskoczyła. Wilgoć przeszkadza bardzo działaniu elektryczności, trzeba więc przy doświadczeniach podobnych osuszać starannie wszystkie przybory, to najpiękniejszy warunek powodzenia. Co do życzeń korespondenta, pragniemy serdecznie je zadowolnić, nie zawsze to jednak możliwe, czynimy wszystko, co jest w naszej mocy.

Józio H. nadesłał trafne rozwiązanie łamigłówki, nie dodając do tego ani słoweczka; na drugi raz prosimy o dłuższy liścik.

Firletka biała wybornie odgadła łamigłówkę Trawki. Jeszcze Firletka ma dwie zagadki do odgadnięcia, zobaczymy, czy i z temi tak jej łatwo pójdzie. Przesyłamy jej znowu aż dwa liściki.

„Kochana Firletko biała! Jak tylko się dowiedziałam, że szanowna Firletka pisuje do „Wieczorów” i ja poszłam za jej przykładem. Chciałabym bardzo poznać się z tobą i mieć twoją fotografię. Jeżeli umiesz układać zagadki, to mi jedną przysyłaj. Proś, żeby i twój list wydrukowali. Czenio śpiewa piosenkę, którą Anielcia ułożyła.

Czarnuszka z Mroczkowa”.

Dodajemy dla wiadomości Firletki, że Czarnuszka ma lat 8 i nazywa się Kazia.

„Kochana Firletko! Nie myśl, że jestem tak mądry, abym zasłużył na nazwę mechanika; tylko nauczycielka mówi często, że raz odrabiam wolniej, drugi raz prędzej swoje czynności, dla tego

więc wzięłem sobie pseudonym Zegarek, ażeby być tak akuratywnym, jak Zegarek. Powiedz, Firletko, co myślisz o tej grudce soli i o kawałku cukru, które mamy zadane przez redakcją? Ja się postaram to zrobić, zrób i ty.

Życzliwy Zegarek”.

Czarnuszka z Mroczkowa musi być bardzo dobra i rozsądna dziewczynka, skoro przykład Firletki naszej takie na nią wywarł wrażenie, że i sama już całego rubelka zebrała dla ubogich dzieci na Gwiazdkę. Jak tylko Czarnuszka kochana będzie ciągle o tem pamiętała, że z piątek korzystać będą biedne dzieci, to się z pewnością te piątki posypią, jak z rękawa.

Jutrzenka może teraz śmiało swój pseudonym zachować, ponieważ druga panienka, która się tak przezwiała, oddawna przestała do nas pisywać i prawdopodobnie wyrosła już z naszego Pisma. Nie wszystkie czytelniczki odgadły zaraz, że doktorowa Z. jest Reginką, ale Jutrzenka widocznie należy do domyślniejszych. Wielka to przyjemność, i dla nas, i dla szanownej autorki, że powieść ta z takim zachwyceniem jest czytana. Szarada jest dobra i będzie drukowana, tembardziej, że razem z dwóch stron nadeszła, bo tę samą przysłała także Pliszka z nad Gopła. Kazio najserdeczniej prosi, aby Jutrzenka zmieniła copędzej postanowienie i zaczęła nadsyłać odpowiedzi na zadania konkursowe.

Motylek z nad Sekwany nie powie już teraz zapewne, że zagadki niedość prędko są wydrukowane.

Tygrys nie napisał, jaką gramatykę chce nabyć, jeżeli się spuszczą na wybór redakcji, to możemy mu przesłać Gramatykę Boczylińskiego w dwóch częściach za rs. 1, kop. 5 z przesyłką. Nagroda przesłana była w kopercie rekomendowanej pod adresem właściciela domu, który ją zapewne odebrał, niech się Tygrys u niego upomni. „Mądry kot” 25 kop. kosztuje „Pan Tadeusz” 60 kop.

Aurykla bardzo ucieszyła i Kazia, i całą redakcją, obietnicą, że będzie na wszystkie zadania przysyłała odpowiedzi. Radzibyśmy, aby kochani czytelnicy jaknajliczniej do tych zadań należeli. Nie za każdą razą zapewne można nagrodę otrzymać, lecz korzyść zawsze się odnosi.

Czarnobrewka bardzo ładny i zajmujący liścik napisała, szkoda tylko, że wyliczając imiona rodzeństwa, o swoim własnym zapomniała. Niechże Czarnobrewka jaknajprędzej drugi liścik z tą wiadomością napisze. Tymczasem zasyłamy serdeczne pozdrowienia wszystkim kochanym dziewczętkom i uczniowi gimnazjum, a o dowcipnej Dziudzi radzibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej. Powinnaby Czarnobrewka zapisywać jej roztropne odpowiedzi i przysłać nam w liściku.

Iskierka zapytuje o imię swojej siostrzyczki z Konar; dotychczas jednak tajemnicza ta osobka nie wyjawiała redakcji swojego prawdziwego imienia. Łamigłówka jest bardzo dobra, wydrukujemy ją, jeśli przedstawienie owych trójkątów nie napotka trudności.

Wisience dziękujemy za wiadomość, że ze wszystkich powiastek, najwięcej jej się podoba „Prawdziwe bogactwo”. Wielką to sprawi przyjemność szanownej autorce, która tak serdecznie czytelniczki naszego Pisma pokochała i tak gorliwie dla nich pracuje. Nie znamy imienia Niezabudki z nad Sony, która dość dawno nie pisała. Może teraz, dowiedziawszy się, że kochana Wisienka o nią zapytuje i łamigłówki jej przesyła, znowu się odezwie.

Dla ubogiego ucznia nadesłali: To, olka z nad Kodemy kop. 50, Derkacz kop. 30, Janinka i Władzio kop. 20.

Dane bezimiennie od dzieci rs. 3 oddane zostały według żądania: jeden nn zakład paralityków, jeden dla opłacenia nauki biednej dziewczynki, a jeden do puszeki bractwa Śgo Wincentego, wspierającego ubogich, dotkniętych najcięższą nędzą.

Wszystkim kochanym korespondentom, którzy nam przesyłają opłatek i życzenia z powodu Świąt, serdecznie dziękujemy i wzajemne życzenia pomyślności przesyłamy.

OD REDAKCYI.

Druk dodatku książkowego opóźnił się z powodu Świąt, czytelnicy otrzymają dwa arkusiki przy N-rze 2-gim.